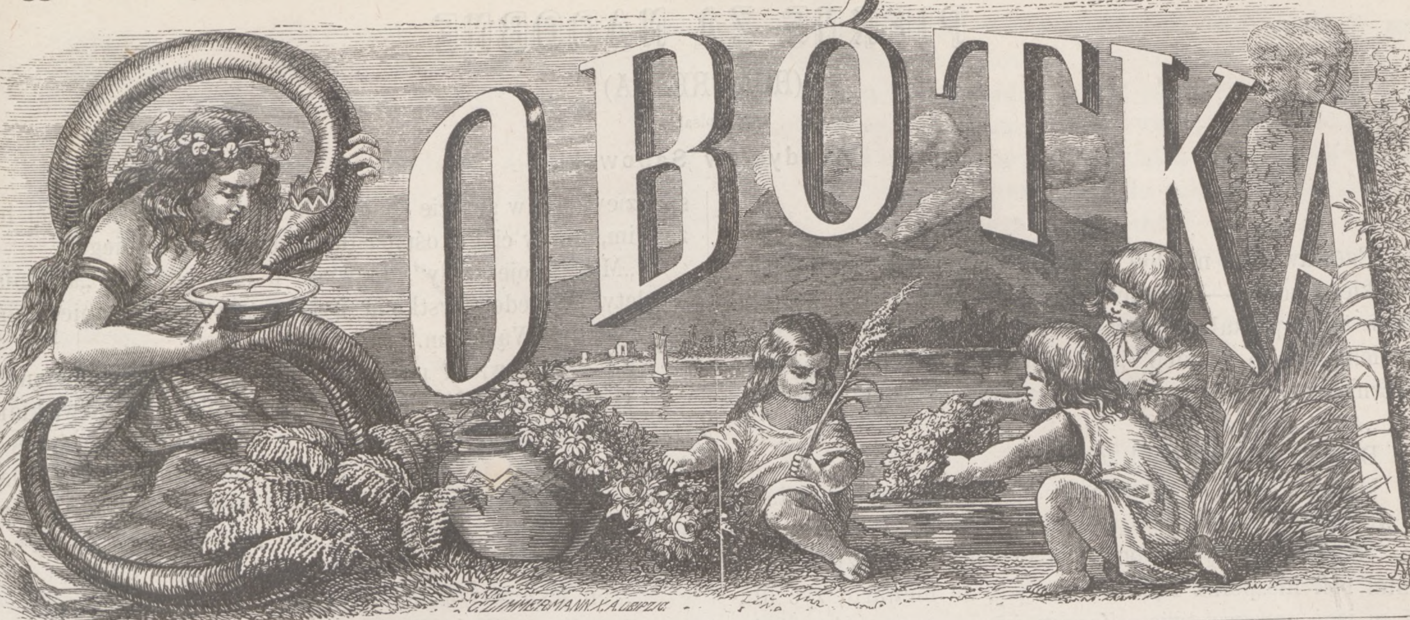
Nr. 27. Poznań, dnia 1. Lipca 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW!

Rozpoczynając przed blizko trzema laty wydawnictwo Sobótki, wypowiedzieliśmy iż głównym jéj celem będzie szerzenie oświaty opartéj na podstawach narodowości i religii. Z radością powitano naszą Sobótkę, z zadowolnieniem widział ogół nasze usiłowania ku temu zmierzone celowi. Poparci stosunkowo liczną prenumeratą staraliśmy się, by pismo nasze, o ile siły nasze zdołają, odpowiedziało wymaganiom ogółu. Dość zajrzeć na spis imion autorów których prace zamieściliśmy i zamieszczamy, dość kilkanaście przeczytać artykułów umieszczonych w Sobótce, a każdy przekona się, iż pismo to **jest dla ogółu.**

Z nadchodzącym kwartałem rozpoczynamy nową powieść, zamieścimy artykuły o innych dzielnicach kraju, prace o kwestyach bieżących, prócz innych. To też odzywamy się do naszych abonentów, aby zechcieli **protekcyą** swą poprzeć nasze usiłowania **i aby każdy dotychczasowy abonent w kole swych znajomych przysporzył nam kilku nowych abonentów,** a wtedy będziemy mogli postawić Sobótkę na szczyt, do jakiego doprowadzić ją jest naszem usilném życzeniem.

W końcu dodamy jeszcze, iż dla abonentów Sobótki nabyliśmy znaczniejszą liczbę exemplarzy:

1. **Encyklopedyi podręcznéj,**

mającéj wychodzić od 1 Października w 2 tomach (około 120 arkuszy);

2. **Pism J. I. Kraszewskiego,**

rocznie około 20 tomów.

Obydwa dzieła odstępujemy abonentom Sobótki po cenie zniżonéj **dopókąd liczba zamówionych exemplarzy starczy,** stósownie do ogłoszenia umieszczonego na ostatniéj stronnicy.

Przysełający prenumeratę za późno nie zechcą nas winić, jeżeli dzieł tych po zniżonéj cenie nie otrzymają.

Wydawnictwo Sobótki.

PIĘKNE ZA NADOBNE

(HUMORESKA)

napisał

Władysław Sabowski.

I.

Czesław Duś nie był człowiekiem pospolitym; nie miał miękkiego serca — przeciwnie. Powiadają o nim, że tylko raz w życiu płakał, i wierzą w to mocno ci, co ten płacz widzieli, a ci co widzieli, jeszcze więcéj uśmiechają się dwuznacznie, wzruszają ramionami i mówią dziwnym głosem:

„Aha! płakał...“

Było to mniéj więcéj tak:

Matka Czesława pochowała aż trzech mężów; jednego we wpomnieniach niekoniecznie miłych, dwóch innych w grobie. Pochowany we wspomnieniach był pierwszym. Żyła z nim rok niespełna i przekonała się, że niewarto żyć dłużéj w jego towarzystwie. Zaproponowała mu zatém tysiąc talarów odczepnego i rozwód, zobowiązując się sama wychować syna, jeśli do niéj nie będzie miał żadnych pretensyi. On przystał, wziął talary, wyjechał na Pomorze, niewiadomo po co, i nie pokazał się więcéj swéj małżonce, która kiedy się o nim przypadkiem zgadało, mawiała:

„Był to człowiek po prostu do niczego. Nazywał się Wąsicki, a niemiał nawet wąsów, kochał mnie niby, a było mu wszystko jedno co robię... gdziem go posadziła, siedział, gdziem kazała iść — szedł, jakem mu się kazała skrzywić, to się skrzywił, tylko jakem się rozgniewała i krzyknęła: „a rozłość że się niedołęgo choć raz“, to albo szedł do kąta jak trusia, albo mnie całował w rękę, albo się śmiał. Ciepłe kluski i nic więcéj... co mi było po takim mężu, preszę państwa?...“

Słowa te malują nam dość dobrze panią Agnieszkę z Milskich primo voto Wąsicka. Była to energiczna kobieta, lubiła wszystko w domu mieć na swojéj głowie, ale chciała żeby i mąż także nie był małżonkiem od parady.

Na drugiego wybrała też sobie człowieka, który miał wąsy jak sum, klął, piorunował, bił służbę, kopał psa i na nią samą głos podnosił. Były wojskowy, bardzo po obozowemu patrzył na życie, lubił karty, wino i ku największéj zgrozie pani Agnieszki, dopuszczał się dość często niewiary małżeńskiéj. Nazywał się Paschazy Opałowicz, miał wzrost grenadyerski, gwardyańską duszą, głos sekwestratora wywołującego na licytacyi:

„Piętnaście talarów... kto da więcéj?... po pierwsze... po drugie i po...

Pani Agnieszka żyła z nim przez półtora roku, a napłakała się więcéj niż przez inne lat piętnaście. Szczególniéj owe grzechy przeciw zaprzysiężonéj wierze i uczciwości matrymonialnéj wyciskały z jéj oczu takie potoki, takie krynice perlistych kropli rozżalenia, jakie osobie nieprzyzwyczajonéj wycisnąćby chyba mogło zażycie spornéj dozy tabaki Rappo zmięszanéj z Albanką.

Mimo to jednak pani Agnieszka znajdowała, że drugi małżonek lepszym był od pierwszego, i gdy go jéj najniespodziewaniéj w świecie sprzątnęła cholera, wylała więcéj łez za nim, niż w ciągu ośmnastu miesięcy przez niego.

„Miał swoje wady“, mawiała o nim późniéj, „ale miał i zalety. Przedewszystkiem był mężczyzna, a koniec końcem nie był Wąsickim.“

I po Opałowiczu pozostał pani Agnieszce syn jedynak.

Trzeci małżonek, imieniem Jan w Oleju, a nazwiskiem Duś, dostał się pani Agnieszce w dziesięć lat po śmierci drugiego. Było to w epoce kiedy pani Agnieszka już dawno przeszła trzydziestkę, a on podówczas dopiero do trzydziestki dobiegał. Skojarzyła ten związek miłość. Pani Agnieszka zakochała się w nim i powiedziała sobie:

„Ten jeszcze i żaden więcéj.“

Czy Jan w Oleju Duś podzielał tę miłość pani Agnieszki — miłość pierwszą, dziewiczą, bo dwa poprzednie jéj małżeństwa były skojarzone przez swatki — było to jego prywatną tajemnicą, w którą wglądać nie mamy prawa; dość że się zgodził na to, żeby pani Agnieszka do końca życia nosiła jego nazwisko. Być może, że przyczyną tego był majątek pani Opałowiczowéj, która pochodziła z zamożnéj rodziny, miała intratny dom w Rynku poznańskim i prowadziła w nim magazyn strojów, który jéj bardzo znaczne przynosił dochody — i to jednak należy do spraw czysto prywatnych Jana w Oleju Dusia i tego więc badać nie chcemy.

Jan w Oleju Duś przed ślubem całkiem był niepodobny do Jana Dusia po ślubie. Nim mu ręce związano stułą, był człowiekiem towarzyskim, mającym na wszystkie strony przyjaciół, dowcipnym, wesołym, aż miło. Po ślubie skwaśniał i spochmurniał, zrobił się odludkiem, domatorem, nudnym, niecierpliwym, złym. Pani Agnieszka wszelkiemi środkami do jakich miłość jest zdolną, starała się uprzyjemnić mu życie, ale daremne były jéj wysilenia. Coś się popsuło w humorze Jana w Oleju, i niepodobna było tego naprawić. Z każdym miesiącem, z każdym kwartałem, Jan Duś stawał się drażliwszym, nieznośniejszym. Rzecz dziwna!... zamiast gasić potęgowało to miłość pani Agnieszki, i gdy po dwóch latach i czterech miesiącach pożycia Jan Duś zamknął powieki, zdawało się, że go nie przeżyje pani Agnieszka.

Po tym mężu pozostał jéj także jedynak.

Takim sposobem pani Dusiowa była matką trzech jedynaków. Najmłodszy Czesław Duś był jeszcze w kolebce, gdy najstarszy Adolf Wąsicki już pełnoletności dobiegał, a średni Józef Opałowicz jako tercyaner mordował łacinę i grekę.

Łatwo się domyślić, że najmłodszy był oczkiem w głowie matki, która dla starszych była zawsze poważna, a nawet często surowa. Pani Agnieszka wychowywała swego faworyta tak starannie, otaczała go taką pieczołowitością, tak go strzedz i pilnować kazała niańkom, bonom i piastunkom, że się nie mogło obejść i nie obeszło się rzeczywiście bez nieszczęścia.

Pomiędzy boną i niańką Czesławek rok podówczas mający, spadł ze stołu na podłogę. Bona była przekonana, że na niego uważa niańka, a niańka, że bona ma go na oku. Tak zwykle bywa.

Skutkiem tego upadku nie zabił się, ale został kaleką. Kalectwo zwiększyło jeszcze miłość matki dla Benjaminka.

Gdy starsi synowie podochodzili do pełnoletności, a Czesław rósł powoli, wymogła na nich, że się zrzekli formalnie części majątku jaka na nich przypadać miała, na rzecz najmłodszego brata.

„Wyście zdrowi i możecie pracować“, mówiła im, „dałam wam wychowanie, znajdziecie posażne żony... on biedny kaleka, do pracy za słaby, do karyery małżeńskiéj za brzydki... jemu więcéj potrzeba.“

Że bracia przystali na to, było to pięknym rysem ich charakteru i stało się téż z nimi tak jak przepowiedziała matka; obaj pożenili się, jak to mówią, „dobrze“, to jest z pieniędzmi, i byli na drodze do zrobienia fortun. Urzędowne jednak zrzeczenie się spadku, zerwało jeden z węzłów łączących synów z nią w rodzinę, a tém samém rozluźniło inne węzły. Adolf i Józef przenieśli się w inne strony i prawie przestali komunikować się z matką i z Czesławem.

Czesław Duś pozostał tedy pod wyłączną opieką pani Agnieszki, a pani Agnieszka, rada uwiecznić najszczęśliwsze chwile swojego życia, kiedy żył jeszcze Jan w Oleju, a Czesławek był w kolebce, uważała go ciągle za mało co więcéj jak niemowlę.

Młodość Czesława ubiegła zatém w sposób bardzo monotonny. Do dwudziestego któregoś roku życia pozostał pod okiem matki, która na każdy krok jego najbaczniejszą zwracała uwagę i strzegła go jak panienki.

Czesław Duś nie chodził do szkół publicznych, bo mógłby się popsuć. Uczyły go w domu guwernantki i nauczyły mówić po francuzku, nie bardzo biegle, grać na fortepianie, tak jak gdyby zamiast palców miał młotki, rozmawiać o rzeczach do kobiecego gospodarstwa należących z zupełną świadomością i znawstwem, dbać o porządek w mieszkaniu jak najwybredniejsza gospodyni, o schludność i zgrabny krój sukni jak elegantka. Gdy miał cztery lata, matka zaczęła mu dawać codzień po trojaczku na ciastką i do jéj śmierci, to jest do dwudziestego czwartego roku życia, nie miał innych osobistych dochodów, prócz tych trojaczków, żadną większą kwotą nie rozporządzał. Do ośmnastego roku życia corocznie w dzień św. Agnieszki uczył się wierszem powinszowania dla matki i recyzował je jak żaczek — do saméj pełnoletności nie wolno mu było zapalić papierosa albo cygara, wypić więcéj jak półkieliszka wina, położyć się spać przed dziesiątą, wstać przed siódmą, pójść bez mamy do teatru lub do cukierni, ani przeczytać książki w któréj była mowa o miłości.

Każdy inny wychowaniec takiéj reguły, wyłamywałby się z pod niéj ukradkiem; robiłby długi, grał w karty, bałamucił dziewczęta, a przed mamunią dobrodziejką udawał anioła i świętoszka. Czesławek nie miał o tém wyobrażenia, a gdyby je miał nawet, toby niemiał odwagi narazić się na gniew matki.

Mimo miłości bowiem, pani Agnieszka była kobietą, która umiała nakazać posłuszeństwo dla siebie.

W dwudziestym czwartym roku życia Czesław Duś stracił matkę i na jéj pogrzebie płakał rzewnemi łzami.

Wiemy to od wiarogodnych świadków, których była najmniéj czwarta część miasta...

Od innych świadków, również wiarogodnych, ale których było daleko mniéj, wiemy, że Czesław Duś, zaraz w dzień śmierci matki, kiedy jeszcze leżała w przyległym pokoju, kazał przynieść cygar, papierosów, wina i innych zakazanych owoców i kosztował z osobami, które znały jego matkę i przychodziły do niéj w odwiedziny pośmiertne.

Jedna z tych osób, widząc takie zbytki chłopca wychowywanego na panienkę, odezwała się z uśmiechem:

„Cobyś pan robił w tym przypadku, panie Czesławie?“

„W jakim?...“

„Gdyby tak matka wstała, przyszła tutaj z drugiego pokoju i zobaczyła co pan sobie pozwalasz...“

Czesław rzucił na ziemię niedopalony papieros, mrowie przebiegło go po skórze, wstrząsnął się i rzekł nachmurzony:

„Dajcie pokój... gotowiście w złą godzinę wymówić...“

Wiarę w „złe godziny“ przejął od swych nauczycielek, które na seryo utrzymywały, że przecież nie wszystkie części doby muszą być jednakowe, że niektóre chwile są szczególnie uprzywilejowane przez dobrych lub przez złych duchów.

Osoby, przy których odbywała się ta scena, ilekroć im wspomniano, że Czesław Duś nadzwyczaj rzewnie płakał na pogrzebie swéj matki, odpowiadały wzruszając ramionami.

„Aha! płakał... (C. d. n.)

NA TUŁACTWIE.

Luźne kartki z teki J. Gordona.

(Ciąg dalszy.)

„Powiedz mi kochany doktorze“, zapytałem nazajutrz mego ziomka przeciągając się w łóżku, „co znaczy ten śpiew długi, nudny, monotonny owego koczującego niegdyś rycerza afrykańskiego, co tu się usadowił pod naszemi oknami?“

„Jestto litania Beduinów, religijna i patryotyczna razem. Nauczyłem jéj się na pamięć przez codzienne słuchanie. A ten dziki Arab, to murzyn, który zachęcając wiernych do modlitwy, i nas obudził swojém wołaniem: Il la ill Ałłah Mohammet resul Ałłaha!“

Dowiedziałem się później od oficera, co nas bawił swemi algierskiemi opowieści, że ten sam murzyn nucił co dnia owę litanią czy hymn, usiadłszy w kuczki, przed namiotem sułtana Ab-del-Kadera, nim popadł do niewoli na wyspę, i że znaczenie jéj jest następujące:

„Sułtan jest wielki, a Mahomet jeszcze większy;
„Sułtan jest wielki, dobry, wspaniałomyślny i święty;
„Pielgrzymi idący do Mekki są bardzo wielcy i bardzo święci;
„Sułtan ma mnóstwo koni, a wszystkie wyborne;
„Sułtan posiada ogromne skarby i moc prochu;
„Arabowie mają żyzne niwy;
„Mają lesiste góry, zkąd płyną liczne rzeki;
„Mają ładne kobiety;
„I tak rącze rumaki, iż żaden zwierz ich nie doścignie;
„I silnych wielbłądów;
„I niezliczone trzody bydła i owiec;
„Broń nasza jest doskonała;
„Mamy proch;
„Dużo prochu!
„Módlmy się, aby wszystkie giaury wymarły;
„Dużo prochu!“

Wspomnienie o Ab-del-Kaderze nasuwa mimowolnie na pamięć współczesnego z nim Szamyla, który do niedawna, podobnie jak tamten Francyi, długie lata opierał się Moskwie.

Związek polityczny był niedostatecznym do utrzymania tak Arabów jako i Czerkiesów. Pierwszych skojarzył pod względem społecznym i wojskowym islamizm, drugich murydyzm, t. j. reforma islamizmu. Zasada murydyzmu, nauczająca poświęcenia się jednostce dla ogółu i ogółowi dla jednostki, choć czysto-demokratyczna, wzywa do posłuszeństwa bez granic jedynemu przywódzcy, jak to ma miejsce np. w jezuityzmie.

Religia nakazuje ludom tych wyznań wierzyć w swych proroków. Do tych policzony był Szamyl i Ab-del-Kader.

Wprawdzie sława jestto niestała pani z przyrodzenia, postacie atoli dwóch bohaterów, gór kaukazkich i pustyń afrykańskich, przejdą do potomności. Dwie te postacie dzikich wojowników i prawodawców o iskrzących oczach na pięknych obliczach, przyodziane w białe burnusy na karych biegunach, z zawieszonę szablicą na ręku; postacie stojące na straży u kresów zagrożonéj ojczyzny swojéj przed najazdem ruchomych zagonów cywilizowanych barbarzyńców, wrażać się nie przestaną w pamięć, jak bronzowe posągi konnych rycerzy, stawiane na rynkach miast europejskich.

Bo, zaiste, wojna ich była piękną. Nie był to bój za bawełnę ani herbatę, nie przelewali krwi współbraci swoich dla roztrzygnięcia kwestyi, czy pana albo panią posadzić na tronie, lub złupić miliony grzywien na nieprzyjaciołach; ale walczyli za wiarę, obyczaje, niepodległość, słowem za swą starożytną narodowość.

Podobnych w swoim rodzaju bohaterów w dawnych czasach miały tylko krucyaty.

Szamyl azyatycki i Ab-del-Kader afrykański nie naśladowali dzisiejszych moskiewskich, francuzkich i im podobbnych sybarytów i frymarzy, uważających wojnę za korzystne dla się rzemiosło — ale karmili się prosem, pili wodę z krynicy, spali na piasku razem z ich końmi, modlili się i nie zdradzali.

Wiara podnosiła ich ducha. Żałować tylko należy, że była nię dość oświeconą, że muzułmanizm z przymieszką zemsty i fatalizmu, nie dozwolił im stanąć na drodze politycznéj i społecznéj wolności, jak np. Kościuszkom, Waszyngtonom, Garibaldym itd.

Zresztą władza Szamyla i Ab-del-Kadera nie budziła trwogi przywiązanéj do epoletów, orderów i carskich szychów, nie budziła braterstwa jednego knuta. Byli oni mężami zaufania ludów, przedstawicielami potrzeb chwilowych. Wszędzie, gdzie dotarł ich sztandar z półksiężycem, gromadziły się zbrojne rzesze różnych szczepów i pochodzenia, nie na komendę generalską, lecz popychane solidarnością przekonań.

Gdy znikli z pola bitwy wodzowie, zniknęły jak błyskawica ich zastępy, niby widziadła magiczne.

Gdzie się podział Szamyl? pytali niespokojnie Moskale; — gdzie jest Ab-del-Kader? wołali skwarem spiekli szeregowcy francuzcy.

Próżne wołania, marne wrzaski! Czarna jeno struga i dymiące zgliszcza pozostały na miejscu gdzie wczoraj obozował Beduin, i drzewa palmowe smętnie tam szeleściły.

Zawsze to byli dzicy poganie! ucinali jeńcom ręce i głowy! — zawoła niejeden z dzisiejszych cywilizatorów.

Ale kiedyż to, wy panowie! postępowaliście lepiéj? z tą do tego różnicą, że u was bezbronni wojennoplenni zamiast od jatagana ginęli od stryczka i od stęchlizny kopalń syberyjskich, ginęli powolném konaniem w nędzy i tyfusie, lub od kuli wersalskiéj w bratobójczym mordzie.

Europejskie znęcanie się, okrucieństwa uknute na podstawie paragrafów nie istniały nigdy u owych „dzikich pogan“. Zemsta ich była wynikiem już to przepisów starego Koranu, już nagiéj, drażniącéj, spiekłéj przyrody, w któréj, że tak powiem, zawisł niejako w powietrzu fatalizm i na każdym kroku czuć groźnego Jehowę. A wy, niby chrześcianie...

Musimy — powiadacie — uprzątać ojców, aby cywilizować dzieci. O! czemuż was raczéj nie uprzątnięto.

Tak cywilizując po waszemu w południowéj Ameryce, awanturnicy hiszpańscy przez chciwość sprzątnęli z tego świata w przeciągu lat 400 ludność indyjską, choć sami bezrządem się nie zbogacili; Portugalczycy wyludnili Kalkuttę i Malakkę; Moskale Kaukaz; w umizgach niemieckich moralistów ztopnieli Lutycy, Obotryci i nadelbiańscy Słowianie; a nawet i do nas się téż ci i owi serdecznie już nie raz zabierali i na naszą narodowość zuchwale targnęli.

„Uprzątnąć ojców, aby cywilizować dzieci.“ Precz mi z tą obłudą! Pokażcie choć jeden lud, któregoby najezdnicy nie zniszczyli lub nie zdemoralizowali! W najlepszym razie pozostał on takim jakim był, jeśli posiadał niespożytą siłę moralną oparcia się wpływowi podbójców i grabarzy.

Pod słowem „cywilizować“, którém tak zastawiają się nieprzyjaciele ludzkości, rozumiemy z niem blizkoznaczne: „przekonać“, to jest: przekonać godziwym sposobem wytłumaczenia, porozumienia się, perswazyi; nawrócić, dowieść do zmienienia szkodliwych pojęć co do obowiązków względem siebie i bliźnich; uobywatelić i uszczęśliwić nakoniec — lecz nie ołowiem, żelazem ani kańczugiem; ale uszczęśliwić upojeniem uczucia własnéj godności, tam gdzie niema takowego, miłości bliźniego tudzież zamiłowania wolności spo-

łecznéj i sprawiedliwości — czego bezwątpienia żaden z mocarzy nigdy nie czynił.

Beduin mieczem cywilizowany, w chwili gdy tę kartę kreślę, wywołał na nowo u siebie powstanie, bo mu się pora ku temu zdarzyła. Tatarzyn błogosławiony knutem czyha tylko, rychło gwiazda caratu zblednie, by we krwi utopić ohydne poddaństwo.

Tako to praca marna, takie opłakane skutki najazdów przez pogrążonych w pysze swojéj i zarozumiałych, a chciwych panowania i złota uprzywilejowanych ichmościów.

Skoro zaś doszliśmy do zbawiennego pojęcia, że żaden człowiek nie powinien być uprzywilejowanym, bo wszyscy jesteśmy omylnymi, więc też i narodów uprzywilejowanych być nie może, a o gniotących państwach nie ma nawet mowy.

Równość i wolność narodów w obec prawa bytu, jest jedyną choć zapoznaną zasadą, mogącą usunąć wywołaną przez koronowanych zaborców i ich czeladkę, plagę obecnego wieku, jako też sprowadzić spokój i równowagę w ugrupowaniu się ludzkości. To zaś wcześniéj czy późniéj nastąpić musi.

„Jeszcze Polska nie zginęła!" (C. d. n.)

POWRÓT DO OJCZYZNY.



Witaj ojczysta ziemio! Jak cudnie się płonią
Twe łany wyzłacane wszechmocnego dłonią.
Te strumienie szemrzące po stromych kamieniach,
Te gaje w których nieraz pląsaliśmy cieniach,
Te łąki strojne kwiatów i ziela kobiercem,
Gadające nie z okiem człowieka lecz z sercem.

Witaj ziemio ojczysta, i ty pochylony
Krzyżu, który usiadłszy pomiędzy zagony,
Na dwoje strony świata roztaczasz ramiona,
Jak gdybyś wszystką ziemię chciał tulić do łona.
Opowiedz, czy cię prośba nieszczęsnych doleci,
Opowiedz krzyżu stary czy przyjmiesz twe dzieci.

Niewdzięczni, — myśmy ciebie odbiegli o Chryste,
Porzucili dom własny, łany macierzyste,
Zwątpieni, czy nad nami czuwa dłoń twa Boża,
Szczęścia — poszliśmy szukać, het aż za trzy morza.
Niepomni — że prawdziwe szczęście jest na ziemi
Tylko we własnéj chacie pomiędzy swojemi.

Patrz! oto stopy nasze bose, pokrwawione,
Dłonie od niezmiernego trudu uznojone,
A za całą nagrodę w pogoni za złotem
Przynosim skroń znaczoną zmarszczkami i potem!
I jedną prośbę szepcem usty zapiekłemi!
Daj nam Boże odpocząć na ojczystéj ziemi.

W. Bełza.

Po bożym świecie i w podziemiach Wieliczki.

Wyjątek z Pamiętników

Wincentego Pola.

(Ciąg dalszy.)

Światło świeciło się jeszcze w kilku oknach gdyśmy wjechali w podwórko, i u Kazimierza było kilku młodych panów, bo była jakaś narada. Matka zakłopotała się bo wyjeżdżając z domu zamknęła spiżarnie i myśląc, że na obiad wrócimy, nie wydała nic na wieczerzę. Wypadało tych panów podjąć, bo już późno w nocy było, a jak nam Kazimierz mówił, byli głodni. Zakrzątnęła się tedy matka i dała naprzód wódkę i przekąskę, a potém ciepły podkurek, kiedy już kury piać poczęły. Słucham o co w téj radzie chodzi? aż tu słyszę, że chodzi o to, aby zarządzić

przeprawę przez Wisłę do Krakowa w takiem miejscu, któreby było zakryte, bo co noc będą tu do Wieliczki przybywali młodzi ludzie, których trzeba będzie przeprawiać na tamtą stronę Wisły do wojska polskiego. Radzili bardzo gorąco, ale miarkowałem sobie, że nic nie uradzą. Powiadam tedy do Kazia: „Zasyp koniowi dwa garnce owsa i napój go jak się popasie, bo przed świtem jeszcze jadę i wezmę tylko Stasia z sobą, żeby mi potrzymał konia, kiedy mi wypadnie wysiąść z wózka. Jeżeli wypada zarządzić przeprawę tajną przez Wisłę, to wypada mieć własną krypę po swojém brzegu. Otóż będzie i krypa i przewoźnik, a ja tylko będę znał miejsce przeprawy, bo jak by się to rozgłosiło, toby i krypę zabrali i mnie do haresztu.“

Wziąłem tedy te dwa dukaty ze sprzedaży Krakusa i kilka reńskich jeszcze na drogę i na zadatek, a kiedy się dzień robił, byłem już pod Bielanami za Krakowem. W Czernichowie kupują się zwykle krypy już gotowe, kupiłem tedy dobrą, nową krypę, dawszy za nią mało co więcéj nad dwa dukaty, nająłem dwóch dobrych chłopaków, aby tę krypę spuścili pod nasz brzeg do Brzegów, a że téż wodą dniem i nocą gnali chłopcy krypę, niedługo trzeba było czekać na nią.

Myślę sobie, kiedy sam nie mogę służyć ojczyźnie, niech że choć posłużę tym co krew będą za nią przelewać. Krypa była dobra, lekka i sucha jak skrzynia. Staś powrócił wózkiem do domu, a ja popłynąłem na krypie i oddałem ją na schowanie u dobrych ludzi i znanych mi rybaków, obiecując że będą mieli dobry zarobek przy tym przewozie, ale — trzymaj język za zębami.

Jakoż od tego czasu nie było prawie nocy, żeby się kilku chłopaków nie przeprawiło przez Wisłę. Na moim wózku a czasem i najętymi furkami podjeżdżali do brzegu i przeprawiali się na naszéj krypie, a Kazimierz który ich przeprowadzał, powracał zwykle dopiero przed świtem do domu, i kiedy się cała Wieliczka do snu bywało ułoży, wyprawiamy chłopaków do Polski — co tam nieraz płaczu było, co błogosławieństwa i ludzkiéj życzliwości. Matka nie wypuściła głodnego nie dawszy mu jeszcze chleba na drogę, ale co prawda, nie puściła żadnego z nich bez pacierza i litanii. Żal brał nieraz patrzeć, takie to piękne i młode było, zmęczone drogą i wystraszone, bo nie jednego przytrzymała matka i przez i dobę i przez dwie doby w domu i poprowadziła o świcie do księży tu w naszym klasztorze aby się wyspowiadał, to bezpieczniejszym będzie tam gdzie Bóg kule nosi. Otóż byli bardzo posłuszni i grzeczni i dopóki lód nie stanął na Wiśle trwała ta przeprawa co z naszego wychodziła domu.

Raz powiadam Kaziowi: „No, lud stoi już na Wiśle, to już i bez nas przejdzie każdy po lodzie, wyprawiałeś ludzkie dzieci na wojnę — wypraw że i siebie.“

Płakała matka, a prawdę mówiąc i ja płakałem, ale Staś najbardziéj, lecz nie tego że Kazimierz idzie, lecz tego że jego nie bierze ze sobą.

Jeszcześ młody, będzie czas na ciebie. Ale on płakał i nie mógł się pocieszyć, matka obszyła zawiniątko z bielizną, ja dałem trochę grosza i krzyżyk na drogę. Najętą furką odjechał Kazimierz nocą i słych o nim zginął.

W tém przyszło pod Warszawą do pierwszéj batalii — okrutnie się bili. Bryczki, wózki i powozy, przelatywały piorunem ze wszytkich stron przez Wieliczkę.

Widzimy że się coś wielkiego stało i że się coś dzieje, ale nikt nie chce słowa powiedzieć. Nie brała się mnie robota, nie spuszczałem się do szybu. Panowie nasi na zamku nie puszczali ducha, lecz cały nasz cech górniczy uważał, że bardzo zgrzecznieli. My mamy tu kapelę górniczą. Otóż wyuczyliśmy się kilka pieśni i marszów polskich, które Kazimierz przysłał z Krakowa, bo jużcić myślimy sobie, że górnicy wieliccy kiedy się bić nie mogą za ojczyznę polską, to powinni przynajmniéj sposobić się aby po polsku zagrali. Zdarzyło się jak na to okazya, były imieniny pana dyrektora, więc w stroju świątecznym ubrani udali się wszyscy górnicy z kapelą na zamek. Pan Dyrektor przyjął nas bardzo łaskawie, przemówił do nas czego nie zwykł był czynić bardzo życzliwie i prosił aby grać krakowiaki i tańce polskie, więc my na pierwsze danie zagraliśmy mu: „Po bruku huczałeś, marsowo patrzałeś“, na drugie zagraliśmy mu „Nasz Chłopicki wojak dzielny śmiały“, a widząc że Niemcy klaszczą nam w ręce i każą roznosić i piwo i wódkę i wino, mrugnęliśmy na siebie i urznęliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła.“

„Brawo“, a potém „fora“, cała Wieliczka się zbiegła, panowie nasi pytają: „czy niema jeszcze takich pieśni?“ ale ja wystąpiłem i powiedziałem, że ani więcéj takich pieśni ani lepszéj niema. Więc znowu „brawo“ i „fora“ i piliśmy zdrowie panów naszych orędowników żup wielickich, ale każdy mówił sobie w duszy, że nie ich zdrowie, ale zdrowie polskiéj ojczyzny pije.

Kiedym powrócił do domu, mówię do matki, która się z narodem przypatrywała także téj sprawie i od czasu rozpoczęcia wojny poczęła odmawiać koronkę do Przemienienia Pańskiego.

„Cóż ty myślisz duszo — co się to święci? Ciemni jesteśmy i nikt nie umie powiedzieć co się dzieje.“ A ona mi na to: „Albo ich Pan Bóg przemienił, albo jakąś wielką zdradę knowają pod nami. Mój ty, jedźmy do Krakowa, to tam nam ludzie powiedzą co się dzieje.“

Staś wprosił się na furmana, a my oboje siedliśmy na wózek i jedziem do księdza przeora przy kościele św. Katarzyny, bo jużcić on i wie o wszystkiem i prawdę do razu powie.

Staś został przy koniu — ja z matką i witam i pytam, a ksiądz przeor powiada „górą nasi“, więc pytam o Kazimierza, czy niewie co o nim? Więc powiada, że jest tu w Krakowie bardzo czynny. Więc pytam znowu, a cóż to za czynność kiedy nie poszedł do boju? Ksiądz przeor nie dał mi na to odpowiedzi, ale oświadczył, że może przywołać Kazimierza, więc proszę o to i czekam. Przyszedł i pytam go, a on mi mówi ni to, ni owo. Och, myślę sobie — czy nie ze krwi mojéj? czy nie syn téj matki? i sfukałem go bardzo. Kiedy to się dzieje, wszedł Staś do celi i powiada do nas:

„Jam myślał, że choć jeden z domu naszego pójdzie, ale kiedy Kazio nie poszedł, to ja proszę o błogosławieństwo rodziców i idę.“

„Co! jak?“ pytamy oboje strwożeni — ksiądz przeor chciał coś mówić, Kazimierz chciał mu perswadować, ale jemu trysknęły łzy z oczów — rzekł tylko tyle:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i bądźcie mi zdrowi“ i uderzył we drzwi — i już go nie było.

Pędzimy za nim, zniknął gdzieś w tłoku pomiędzy żydami, a szukając go do wieczora daremnie, powróciliśmy osmuceni do domu. Matka mówiła sama do siebie, jeden nie chce iść, drugi poszedł i zostaliśmy sami.

Bóg tylko jeden wie cośmy doznali nim się skończyła ta wojna. Ja czekałem tylko śmierci, a matka kiedy bywało przez izbę przechodzi, to się chwyta stołów, bo się jak cień chwiała.

(C. d. n.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Co to jest niebo?

Pomiędzy ludźmi, lub przynajmniéj pomiędzy ludźmi którzy myślą i którzy w pewnych godzinach życia są ożywieni szlachetną żądzą wiedzy, nie wielu jest takich, którzyby nie pytali co to jest niebo otaczające nasze mieszkanie doczesne — ziemię. Bądź w pośród dnia świetności, kiedy wspaniały lazur roztacza się dumnie nad naszemi głowami i kiedy zaledwie srebrne wstęgi chmurek dzielą jego cudowną jednostajność; bądź w skupieniu się wieczorném, kiedy jarzące się gwiazdy zchodzą do swego łoża purpurowego o frendzlach złotych, i kiedy rumieniący się księżyc zwolna z po za gór i lasów ukazuje się oczom; bądź na łonie nocy spokojnéj, kiedy iskrzące się gwiazdy zaleją przestrzeń melancholicznym deszczem światła: w tych chwilach rozważania i rozmowy z naturą, dusza uczuwa żądzę zgłębienia tajemnic stworzenia, uznaje ona że nieświadomość jest stanem jéj niegodnym, i że wiedza musi być słodką i zadawalniającą ducha; ona wznosi myśl do Boga i zarazem uczuwa gorączkową potrzebę wyjścia z ciemności i odkrycia wieka pokrywającego tajemnice natury.

W końcu jest to konieczność utworzenia sobie jasnéj idei o naturze świata, a z całéj jego galeryi najbliższem naszego rozważania powinno być to, co w zwykłém sposobie mówienia nazywamy niebem.

Postarajmy się więc dzisiaj wznieść po wyżéj złudzenia, którém zadawalnialiśmy się dotąd, przekroczmy granice iluzyi zmysłami naszemi spowodowanéj i nauczmy się oceniać w całéj piękności prawdę absolutną stworzenia. Wielu poetów z czasów starożytnych a nawet i dzisiaj wystawiało sobie, że fikcya musi być piękniejszą od rzeczywistości; poeci ci się mylili.

Oto przekonamy się zaraz. Wzrok nasz ograniczony sferą na któréj żyjemy, widzi po wyżéj głowy, niebieski pawilon, wzbogacony podczas ciemności milionami punktów świecących. Zdaje się nam że widzimy sklepienie wklęsłe, uformowane z materyi lotnéj i zamykające powierzchnię ziemi. Oto jest w szkicu system pozorów. Jest on ten sam kiedyśmy w pierwszych latach naszego dzieciństwa sądzili wszystko według wrażeń zmysłowych. Jest on tym samym, który w dzieciństwie żyjące narody przyjęły sobie. Ludzkość jak indywiduum wyrasta ze słabości i nieświadomości i dochodzi do siły i sądu analitycznego. Wspomnijmy na pracę i próby myśli ludzkiéj od czasów starożytnych Arianów, którzy przenosili swe namioty od rzeki do rzeki ku środkowi szerokich Indyi, od czasów Egipcyan których nieme i surowe sfinksy patrzą zamyślone na oddalony horyzont wielkiéj pustyni, od czasów pasterzy chaldejskich czuwających w nocy na górach; aż do czasów kosmogonii greckiéj, aż do czasów chwiejnych idei Rzymu, aż do dziwnéj obawy ponurych wieków średnich; w całéj téj wielkiéj panoramie ludzkości widzimy wszędzie przebijające się idee powierzchowne i złudne. Prawda że systemy astronomiczne zmieniały się w swéj formie według metody rozumowania, według położenia krajów, według charakteru narodów, według rządów lub dynastyi panujących; ale w gruncie każdy bez trudności rozróżni charakter tych systemów, t. j. charakter o którym wyżéj mówiliśmy; ziemia jest powierzchnią płaską i nieskończoną, otoczona po za nieznanemi granicami, otchłanią ciemną, chaosem; niebo zaś jest tylko kopułą.

I dla tego Plutarch po rozdziale zatytułowanym: „która część ziemi leży na prawo a która na lewo?“ Plutarch mówimy, ten wielki historyk pyta się „z czego niebo jest złożone?“ Odpowiadają mu że ostatnim obwodem nieba jest materya ziemna, która zwolna materyalizuje niebo i że gwiazdy są tam jak gwoździe zaczepione. Inny mówi że świat jest utworzony z wielkiéj ilości koron, czyli skorup leżących jedne na drugich i że materya je otaczająca jest równie jak mur mocna i twarda. Inni znowu twierdzili że niebo jest ciałem stałem, składającem się ze zeszklonego przez ogień powietrza, podobnego do kryształu i że każde jego półsferze mieści w sobie substancyę powietrzną utworzoną przez ogień: twierdzenie to jest mniéj dziwacznem. Aristot mówi że się składa z $^1/_5$ substancyi czyli materyi; chodzi więc tylko o odkrycie z czego ta $^1/_5$ materyi jest złożona. Ale oto koledzy jego odpowiadają, że się składa z mięszaniny ciepła i zimna. Nieprawda? — jasnem to nie jest. Diogenes podziurawił niebo otworami i twierdził że gwiazdy są właśnie jakby oknami zfabrykowanemi z kamienia szlifowanego. Xenophon wierzył że gwiazdy formują się z chmur gorejących, które za dnia gasną a nocą się zapalają jak węgiel. Pythagores i Platon nie zajmowali się na seryo tą kwestyą.

Jeżeli od filozofów greckich przejdziemy do pisarzy żydowskich i do późniejszych, to znajdziemy te same błędy i tę samą nieświadomość.

Dziwném jest zaiste, że niektórzy opierając się na wierze w Genezę, niechcieli przyznać nieskończoności prze-

strzeni, okrągłości ziemi, istnienia antypodów i t. d. „Czyż można być do tego stopnia niedorzecznym (tam ineptus)“ mówi jeden z nich, „ażeby twierdzić że nogi ludzi są wyżéj niż głowa, że istnieją kraje wywrócone, że owoce, deszcz i śnieg spadają z dołu do góry! Inny znowu pyta, czy jest istota tak nie mądra ażeby wierzyła że człowiek chodzi głową na dół?“ „Któżby śmiał zaprzeczyć“, woła trzeci, „że niebo nie jest podobne do namiotu lub pawilonu rozpiętego nad naszém mieszkaniem?“ Nie jest tu miejsce zwalczać idee starożytności i wieków średnich — przypominając te formułki chcemy tylko wykazać, jak dalece system oparty na pozorach był łatwo i powszechnie przyjmowany.

Ziemia była stała i nieruchoma, dłuższa ze wschodu na zachód, jak z południa na północ. Ztąd to pochodzą wyrażenia długości i szerokości geograficznéj. Co więcéj, każdy naród sądził przez próżność że zamieszkuje środek powierzchni. Po niżéj téj powierzchni były jakieś fundamenta tajemnicze, o czém jeszcze przed trzema tysiącami lat już Job wspomina: „Gdzieście byli, kiedy rzucałem fundamenta téj ziemi?“ Naturalnie przekonani byli wszyscy że ziemia jest twardą, że niema żadnego niebezpieczeństwa, by się ona kiedy zapaść mogła i że chodzi się po niéj z taką pewnością, jak po zwykłéj i dobréj podłodze. Co do granic, jedni mówili że oceany lub wielkie bagniska ją zamykały; inni przypuszczali jakieś ciemności pomięszane z ruchem i spokojem; ostatni w końcu najśmielsi twierdzili że ktoś w celu pewnych poszukiwań robił daleką podróż i doszedł do punktu, w którém ziemia i niebo stykają się z sobą i że zmuszony był nawet przechodząc granice nieco się uchylić.

Pomimo twierdzeń podobnych, kwestya ta niepokoiła badaczy. Źródło błyszczące światła dziennego, księżyc i gwiazdy wschodzą zwykle w punkcie przeciwnym punktowi ich zachodu. Chyba więc gwiazdy przechodziły pod ziemią. Przedstawić sobie tę drogę było bardzo trudno, tém bardziéj że gwiazdy tylko przez dwa dni wschodzą i zachodzą w tym samym punkcie. Jedni, wierzyli w tradycye Homera, że Apollon i jego rumaki, w celu odświeżenia zmęczonych członków za dnia, zanurzyli się podczas nocy do Oceanu, poczém przez drogi nieznane zwykłym śmiertelnikom na wschód się udali. Pewien egipski podróżny, Cosmas, żyjący w 6 jeszcze wieku zrobił szkic ciekawy świata, w którym przedstawia ziemię czworograniastą, otoczoną murem ze sklepieniem niebieskiem. Byli tacy co twierdzili, że jakaś góra cudowna przez swoje wybryki spowodywała wschód i zachód słońca. W końcu przychodzi baron Foeneste, który oświadczył, że jeżeli ludzie nie widzą słońca kiedy ono wraca, „to dla tego że wraca po nocy.“

Widzimy z tego że coraz daléj ważność przedmiotu w żart się zmieniała. Jeżelibyśmy puścili wodze naszéj pamięci, wyliczenie podobnych przykładów nie miałoby końca. Wspomnimy tylko mieszkanie bogów olimpijskich, do którego się przybywało drogą mleczną; wspomnijmy Tytana który stawiając jedną górę na drugą wierzył że nieba dosięgnie; wspomnijmy jakim sposobem spostrzeżono że komety jako włóczęgi odbywały swoje niebieskie podróże i t. d. To cośmy wyliczyli dla naszych czytelników wystarcza, a czas już przejść z krainy złudzeń do rzeczywistości, od żartu do powagi, od błędu do prawdy.

Ażeby nie zostawić nic za sobą, spieszmy dodać, że iluzye teoretyków wymienionych nie należy przypisywać ich osobistościom, ale epoce w któréj żyli i w któréj bogate sposoby nauk experimentalnych nie były jeszcze znane.

Ażeby utworzyć sobie jasne pojęcie o niebie, musimy przedewszystkiem utworzyć je o kuli ziemskiéj i przedstawić tę kulę zawieszoną w przestrzeni bez żadnéj podpory, jak n. p. bańka mydlana w powietrzu.

A nawet kula ziemska jest więcéj odosobniona niż bańka mydlana, bo ta ostatnia spoczywa na powietrzu cięższém od niéj, kiedy ziemia nie ma podpory w żadnym płynie, nie wspiera się na żadném łożu i istnieje niepodległa od wszystkich rodzai wsparcia i zawieszania.

„Ale w tedy“, może nam kto zarzuci, „jeżeli jest ona tak rzuconą w przestrzeni, dla czego nie spada?“

„A gdzież chcesz by spaść mogła“, odpowiemy.

„Na dół“, zarzucacie.

Ale cóż to jest to wyrażenie n a d ó ł? Jest to idea zupełnie względna. Jeżeli tylko dobrze przedstawicie sobie kulę ziemską zawieszoną i odosobnioną w przestrzeni nieskończonéj, łatwo przyznacie że w tém wszechświecie ani góry ani dołu nie ma. Lecz rozbierzmy to na przykładzie. Oto jest kula w przestrzeni. Średnica jéj wynosi trzy tysiące mil francuzkich. Czytelnika wzrost wynosi n. p. pięć do sześciu stóp. Wzrost więc twój czytelniku, w stosunku do obszaru kuli ziemskiéj jest mniejszy aniżeli n. p. mrówki w stosunku największéj bani na kościele. Wystaw teraz sobie że idziesz wkoło téj kuli zupełnie w ten sposób jak idzie mrówka wkoło ogromnéj bani. — Ziemia ma przymiot miłości przyciągającéj i temu to właśnie przymiotowi winniśmy niewidoczną attrakcyę do powierzchni.

Jakikolwiek jest punkt kuli po którym idziesz, zawsze nazywasz powierzchnię będącą pod nogami d o ł e m, a przestrzeń nad głową g ó r ą. Z kolei możesz bez wyjątku przenieść się na wszystkie punkta kuli, i wszystkie będą dla ciebie d o ł e m a punkta przeciwne w przestrzeni nad głową, g ó r ą. Jest to więc tylko nazwa względna do ciebie, ale nie jest prawdą absolutną. Dwóch obserwatorów postawionych na dwóch punktach ostatecznych średnicy będą mieli g ó r ę wprost przeciwną; dwóch drugich umieszczonych na drugiéj średnicy przecinającéj pierwszą pod kątem prostym, będą mieli g ó r ę w dwóch punktach prostopadłą do pierwszéj. I jeżeli tak daléj kulę całą pokryjemy obserwatorami, uważającymi za g ó r ę przestrzeń po nad głowami, to skończy się na tém, że cała przestrzeń dla wszystkich będzie g ó r ą.

I w rzeczywistości jest to nasza pozycya na kuli. W każdym punkcie, na którym żyjemy, nazywamy niebem przestrzeń po nad naszymi głowami. Z kądinąd, ziemia robi w ciągu 24 godzin jeden obrót. W godzinie w któréj obecnie czytacie, uważacie za g ó r ę przestrzeń po nad waszemi głowami widzianą; za godzin sześć tak samo nazwiecie przestrzeń będącą po nad waszemi głowami, przestrzeń która teraz stanowi kąt prosty z waszą prostopadłą, i t. d. Tak więc, n i e b o jest to cała przestrzeń otaczająca nas ze wszech

stron i w pośród któréj planeta ziemski obraca się z cudowną szybkością 660,000 mil francuzkich przez dzień.

Z tego cośmy wyżéj powiedzieli wynika, że we wszechświecie niema absolutnéj góry i dołu; prawéj i lewéj strony; słowém żadnéj pozycyi bezwzględnéj. Ziemia jest sferą odosobnioną w przestrzeni, a ta przestrzeń przedłuża się do nieskończoności.

Do nieskończoności.....! Usiłujcie myśl słowa tego zgłębić. Przypuśćmy, że dla zmierzenia téj nieskończoności opuszczacie ziemię i kierujecie się do pierwszego lepszego, na prawo czy lewo punktu na niebie. Jeżeli na chwilę biegu swego nie przerwiecie, — wtenczas nawet, jeżeli zagłębiać się będziecie w téj przestrzeni z szybkością światła (77,000 mil franc. na sekundę) — szybciéj nawet, możecie... słuchajcie!... możecie lecieć lata całe, z wieku w wiek... i nie doścignięcie nigdy, nigdy granic tego ogromu!...

W miarę jak się przepaści będą zamykać za wami — nowe się stworzą przed wami — i tak bezustannie, bez końca i przerwy lecieć będziecie do... nieskończoności!... Bez końca!... tak — przestrzeń wciąż będzie rozwarta a wy zużyjecie czas, zjednoczycie się z wiecznością raczéj, niż zwalczycie potęgę nieskończoności, która nie ujęta, uśmiechając się z waszéj naiwności uciekać wiecznie będzie przed wami. Rzeczywiście — długa i niezmierzona wasza podróż podobną byłaby do stanu zupełnego spoczynku. W obec nieskończoności nie postąpilibyście jednego kroku naprzód.

Jeżeli więc na chwilę przyjmiemy, że kula ziemska jest jedyną w téj nieskończoności która ją otacza, łatwo przypuścić że ona upaść może w otchłań — chociażby nawet tak było, spadanie to trwałoby wieki całe — nie dościgając nigdy dna przepaści. Po tysiącu wieków, spadałaby jeszcze tysiące wieków następnych i t. d. Spadanie takie odpowiadałoby stanowi spoczynku, gdyż w rzeczywistości drogá przebyta byłaby zawsze tylko zerem w obec nieskończoności.

Niektórzy zdają się niekiedy doświadczać przyjemności w powtarzaniu błędów starożytności i opierając się na sofizmatach zaprzeczają faktom! Nie uznają oni n. p. nieskończoności przestrzeni wywodząc ztąd wnioski niemające najmniejszego z twierdzeniem naszém związku. Podobieństwem przymiotów usprawiedliwiają identyczność przedmiotu. Dziwném i śmieszném nam się to zdaje i zaraz przykładem to stwierdzimy. Ty pani i czytelniczko nie pozwól porównać ust twoich z koralem morza egejskiego, ani twych włosów z kłosami Cerery, gdyż przyjaciele sylogismów łatwo dowiodą że aksamit ma twardość kamienia i że włosy zmieniają w czasie siejby kolor.

Zrozumieliście teraz że niebo jest przestrzenią próżną, nieskończoną, rozciągającą się ze wszystkich stron naszéj kuli; że siedm nieb kryształowych istniały tylko w imaginacyi śmiertelników; że firmament ze świecącemi się iskrami jak sen zniknął nam dzisiaj; i że w miejscu owéj budowy z czasów Alfonsa X. budowy o 72 łukach powiązanych, została nam przestrzeń próżna i nieskończona.

Kulę ziemską, jak różane policzki młodzieńca, jak świeżą brzoskwinię któréj ciężka ręka jeszcze się nie tknęła, otacza puch lekki. Jest to atmosfera lazurowa; chmury w małéj odległości kołyszą się na piersiach własnych; forma wklęsła jest tylko pozornym wynikiem perspektywy. My ludzie, istoty mikroskopiczne żyjemy wśród tego oceanu powietrznego, a błękit niebieski jest tém właśnie powietrzem, którego cząstki ze wszystkich stron odbijają niebieskie promienie tronu w górze świecącego. Wzbijając się ku sferom wyższym, na góry lub w balonie tracimy ten kolor niebieski i przekonywamy się że przestrzeń jest bezbarwna. Krótki pobyt na powierzchni księżyca, przekonałby dobitniéj że kolor nieba ziemskiego pochodzi wyłącznie z téj atmosfery. Zimna gwiazda nocy jest pozbawiona powietrza i podczas swego dnia długiego (piętnaście razy dłuższy od naszego) w miejsce cudownego pawilonu ma tylko przestrzeń czarną i ponurą, raz ożywioną gwiazdą świecącą, słońcem; znowu księżycem z twarzą kameleonową i milionem gwiazd różnorodnych.

Ziemia jak wiecie jest jedną z części systemu światów, których słońce jest punktem środkowym. Przedstawcie sobie w łonie przestrzeni zawieszoną kulę armatnią; daléj, w różnych odległościach cztéry ziarnka ołowiane: Merkury, Venus, Ziemia i Mars. Daléj nieco cztéry kulki: Jupiter, Saturn, Uranus i Neptun. Ziarnka te i kulki obracają się około kuli. Oto jest system planetarny, z tą tylko różnicą, że w miejsce ziarnek i kulek postawić należy planety.

System ten jest zawieszony w przestrzeni zachowując równowagę. Co go podtrzymuje? Sieć niewidzialna attrakcyi powszechnéj. Jest on téż w spoczynku? Cięży ku środkowi, lub, co na jedno wychodzi, opada. Spada on w przestrzeń nieskończoną. System słoneczny spada z szybkością równającą się dwom milom francuzkim na sekundę, więcéj niż siedmiu tysiącom na godzinę, więcéj niż milionowi na tydzień i 60 milionom na rok! Widzieliśmy już wyżéj, że możemy wiecznie spadać, po linii krzywéj lub prostéj, bez obawy rozbicia się w głębinach nieskończoności.

Pragnęlibyśmy pomówić jeszcze z Wami czytelnicy, o wspaniałości ogromu; przedstawić że ta przestrzeń nieskończończona jest zaludnioną miliardem światów, położonych od siebie w odległościach pojęcie przechodzących; pragnęlibyśmy opisać ich ruchy i powszechność wielkiéj Newtona zasady; wskazać jakim sposobem mierzy się wielkość i odległość gwiazd; ale rozmowa ta i tak już się przedłużyła poza granice zakreślone. Nie wyrzekając się nadziei, że wrócimy jeszcze do tych przedmiotów, cieszyć się będziemy jeżeli czytelnicy dotykalnie się przekonali, że materyalne niebo starożytnych nie istnieje więcéj, że innych nad przestrzenie bezgranic niebios niema i że na łonie téj przestrzeni mieści się sfera zamieszkała, czyli że ziemia jest w Niebie*).

*) Zastrzegamy sobie, że wszystko cośmy wyżéj powiedzieli ściąga się li tylko do t. z. nieba materyalnego.

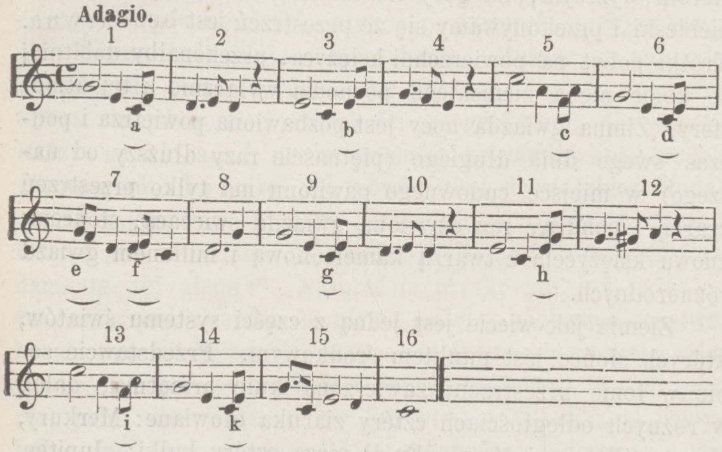
Przyp. Autora.

LISTY POPULARNE O MUZYCE.

II.

Nie podobna nam daléj, jeżeli chcemy stać się znawcami muzyki, obyć bez nót. Weźmy je więc dla przykładu, ukażą się one rzadko i dopomogą do zrozumienia jasnego kwestyi.

Przypatrz się następującéj melodyi, którą często słyszałeś w uwerturze weborowskiego Wolnego strzelca.



Przestrzenie małe, prostopadłemi rozdzielone kreskami, są to takty; stojące nad niemi liczby wskazują, że ta melodya składa się z szesnastu zeszeregowanych taktów.

Treść nót każdego taktu, włączając w to i pauzy, nazywa się motywem. (Mianém tém oznaczają wprawdzie niekiedy i całą także melodyę, niekiedy znowu tylko jeden takt, lub dwa, trzy i cztery i t. d., ale przez to sens staje się niepewnym i prowadzi do nieporozumienia).

Lecz czemuż motywem? Motyw to przyczyna, powód. Właśnie dla tego. Drobnostki te stają się przyczyną wielkich następstw w sztukach całych.

Dwa połączone motywa tworzą oddział; 1 — 2 więc tworzą pierwszy, 3 — 4 drugi, 5 — 6 trzeci oddział i t. d. Dwa oddziały czyli cztery motywa tworzą zdanie, a więc 1—2—3—4 pierwsze zdanie, 5—6—7—8 drugie zdanie itd. Dwa zdania tworzą pojedyńczy peryod, dwa pojedyńcze peryody, złożony peryód czyli grupę peryodów.

Przechodząc teraz od całości do pojedyńczych części, możemy powyższą melodyę tak wytłómaczyć: Melodya składa się z dwóch pojedyńczych peryodów czyli czterech zdań, czyli ośmiu oddziałów, czyli szesnastu motywów.

Jeżeli motyw (treść taktu) ma tylko jednę, największą nótę odnośnego rodzaju taktowego, to motyw jest pojedyńczym; wszystkie motywa, mające więcéj niż jednę nutę, są złożonemi. Wszystkie złożone motywa można znowu dzielić, a z tąd powstają członki motywów. Z następnego okaże się, że i te najmniejsze, niekiedy niepozorne bardzo myśli tonowe mogą się stać przyczynami całych melodyi.

Przysłuchując się marszowi na samych bębnach wykonywanemu, słyszymy tylko podzielone na takty głosy krótkie i długie, nie słyszymy zaś żadnych tonów, rozróżnić się dających wedle ich niskiego lub wysokiego brzmienia. Takty obejmują tylko rytmiczne motywa. I tak n. p. każdą melodyę można rytmicznie wybębnić palcami na stole. W zwykłéj zaś muzyce słyszeć się dają obok rytmiki także i podnoszące się i spadające tony i to jest toniczna część motywów.

Ze względu na rytmiczny kształt motywów, przejdźmy teraz do melodyi weberowskiéj. Widać to natychmiast, że 3, 5, 6, 9, 11, 13 i 14 pierwszemu zupełnie są równe; tak samo 7, 10 i 12 drugiemu. Tylko 4, 8. 15 i 16 nie mają sobie równego w téj melodyi.

Zwróciwszy raz jeszcze szczegółową uwagę na siódmy motyw i na oba pod nim stojące większe łuki, spostrzeżemy, że oba członki motywu są sobie równe. Jeżeli nareszcie wdawać się chcemy w subtelności, spostrzedz jeszcze możemy powtarzającą się często równość najmniejszego członka motywów pod mniejszemi łukami a, b, c, do k.

Porównując oddziały pomiędzy sobą, widzimy, że pierwszy (1—2) drugi (3—4), piąty (9—10) i szósty(11—12) rytmicznie zupełnie są sobie równe, daléj trzeci (5—6) i siódmy (13—14) i że znowu trzeci i siódmy obejmują pierwszy motyw pierwszego oddziału.

Jeżeli nareszcie porównamy z sobą oba peryody w rytmicznych ich figurach, spostrzeżemy, że pierwsze sześć taktów pierwszego peryodu ukazują się w pierwszych sześciu taktach drugiego peryodu w ten sam zupełnie sposób. Pojąć tedy łatwo, że ta melodya w skutek częstego powtarzania równych rytmicznych motywów, oddziałów i zdań, a wskutek równego zupełnie kształtu obu peryodów otrzymała organizm rytmiczny bardzo stały, pojedyńczy, uporządkowany i jasny. I to jest pierwsza przyczyna dla czego melodyę tę pojąć łatwo i łatwo spamiętać.

Pomijając teraz kształt rytmiczny i rozczłonkowanie a zwracając baczność naszą na postać toniczną (na podnoszenie i spadanie tonów) téj melodyi, to odkryjemy w tém toż samo prawidło, choć nie tak ścisłéj często równości, a jednak mniéj lub więcéj manifestującego są podobieństwa. Pierwszy, szósty, dziewiąty i czternasty motyw są sobie i tonicznie zupełnie równe; trzynasty jest tenże sam co piąty. Dwa te motywa są téż znowu równe zupełnie pierwszemu pod względem podnoszenia i spadania, tylko że w wyższym leżą regionie tonów.

Daléj jest trzeci do pierwszego bardzo podobny, bo dwie pierwsze jego nuty spadają podobnie zupełnie jak w tamtym, lecz w regionie niższym i tylko ostatnie dwie ósemki podnoszą się, zamiast żeby spadać miały.

Śledząc daléj toniczną równosć i podobieństwo toniczne w oddziałach, zdaniach i peryodach, znajdziemy tęż samą równość znowu i toż samo podobieństwo. A więc i pod względem tonicznym prostota, jedność i łatwość utworu.

Dla poznania innéj w téj melodyi cechy, zrobimy teraz eksperyment. Śpiewając z niéj pierwszy tylko takt i wstrzymując się z dalszym ciągiem, cóż uczujemy? Niezadowol-

nienie. Robi to wrażenie, jak gdyby ktoś zaczął deklamować: „Jakże rozkosznie“ — a potém przestał. Dwa te słowa rozpoczynają myśl, lecz niekończą jéj. Jeżeli do pierwszego motywu śpiewu jeszcze dodamy drugi, a więc pierwszy oddział, to i w tedy nie czujemy jeszcze zadowolnienia, lecz więcéj przynajmniéj okazuje się już myśli, tak jak gdybyśmy do obódwóch słów powyższych dodali: „Jakże rozkosznie tu.“ Jeżeli do pierwszego oddziału melodyi dodamy drugi, a więc zdanie, to rzecz staje się znowu nieco pewniejszą, jak gdyby kto powiedział: „Jakże rozkosznie tu w gaju cienistym.“

Postępując w ten sposób daléj, uczuje się przy ósmym takcie, na końcu pierwszego peryodu uczucie znaczniejszego oddziału, jakby punkt wypoczynku a przy wygłoszeniu całéj wreszcie melodyi uczujemy zupełne ustanie myśli tonicznéj.

Muzyka posiada bowiem kilka melodycznych i harmonicznych formułek, których działanie równe jest interpunkcyi w mowie; od siódmego do ósmego taktu ukazuje się następstwo, które można porównać z średnikiem, a który nazywa się półzakończeniem (pół kadencyą). Koniec tworzy punkt wypoczynku, pozostawiając jednakże uczucie, że tu by muzyka skończyć się nie mogła. Ostatnia zaś uspokaja zupełnie i sztukę nią zamknąć można.

(C. d. n.)

Szarada.

Pierwsze zgłoska w alfabecie;
Głowa bywa drugie, trzecie —
Pół drugiego, trzecie w twarzy,
Milczy, śmieje się lub gwarzy —
Pierwsze i trzecie bywa w narodzie
Gdy nie żyje z sobą w zgodzie. —
A wszystko na całym świecie
W wielu ogrodach znajdziecie.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 26: *Deficyt.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu W. S. w Pelplinie: Prenumeraty na Encyklopedyą podręczną i Zbiór powieści Kraszewskiego urzędy pocztowe nie przyjmują, takową prosimy **wcześnie** nadesłać na ręce księgarni M. Leitgebra i Spółki w Poznaniu i to przynajmniéj 18 sgr. za pierwsze trzy zeszyty Encyklopedyi i 1 tal. 17 sgr. 6 fen. za pierwsze ćwierćrocze „pism Kraszewskiego.“ — WWPP.: Zakrzewski Osiek, Ofierzyński Chwałkow, Nieżychowski Granow, hr. Kwilecki Dobrojewo, Łakomicki Dąbrówka, Graeve Kawalewo, hr. Żółtowski Niechanowo, hr. Skórzewski Ranków, Turno Słopanów, hr. Potworowski Gola, Drwęski Starkowiec, Trąmpczyński Pawłowice, Kowalko Plebanka, hr. Szółdrski Gasawy, hr. Tyszkiewicz Siedlce, Węsierski Podrzecze, hr. Węsiersko-Kwilecki Wróblewo, Jeszka Gołuchów, Szumann Władysławo, Poleski Kopaszewo, Sperowski Landsberg, donosimy, iż prenumeratę przekazaliśmy poczcie — prosimy o zgłoszenie się po numera Sobótki do najbliszego urzędu pocztowego. — Pannie Kalinie w Maju: Gdyby przyzwoitość na to zezwoliła, chętniebyśmy wiersz jéj zamieścili. Do walki nie stajemy, chociażby nas za tchórzów poczytać miano. — Panu J. w B. pod Inowrocławiem: Stósownie do życzenia postąpiliśmy. Egzemplarz Encyklopedyi na imię Jego zapisany a dzieła Wojnarowskiéj wysłane. List we właściwe ręce złożyliśmy. — Księdzu W. W.: Serdecznie dziękujemy. W jednym z przyszłych numerów praca Jego zamieszczoną będzie.

Od Redakcyi Sobótki.

PODRĘCZNA
ENCYKLOPEDYA POWSZECHNA

w dwóch wielkich tomach z atlasem.

Jako premium dla prenumeratorów Sobótki.

Dążeniem naszego wieku jest popularyzacya wiedzy, a jednym ze środków ku temu — są Encyklopedye, przedstawiające zupełny i wszechstronny obraz wiadomości ludzkich. Ale kiedy zazwyczaj zbiorowe te dzieła starają się traktować naukę najobszerniéj, my bierzemy sobie za cel naszego zadania dać także ile można najwięcéj — ale krótko i treściwie.

Wszakże nie każdy i nie zawsze może i chce szperać w wielutomowych dziełach, odczytywać kilkunasto-stronnicowe artykuły, dla znalezienia jakiéj pobieżnéj wiadomości, jakiegoś nazwiska, pojęcia, obcego wyrazu, wypadku, daty, cyfry, lub mniéj znaczącego faktu, już to przy czytaniu pism peryodycznych, książek, już w czasie potocznéj rozmowy, dla poparcia poglądów, pism i t. p. — zgoła dla dopomożenia natychmiast pamięci, lub zapełnienia przerwy skutkiem czasu zrządzonéj. Treściwy dykcyonarz encyklopedyczny, niewielki objętością, na jednéj kartce, na pierwszy rzut oka dostarczający nam żądanéj wiadomości, krótko ale pewnie zebranéj — może w takim razie i w tysiącznych innych wypadkach, wyświadczyć prawdziwą przysługę i okazać się użytecznym.

Lecz Encyklopedyi takiéj brakuje dotąd naszemu piśmiennictwu i niedostatkowi temu pragniemy zaradzić.

W tym celu wykonany nasz Dykcyonarz encyklopedyczny — ową w skróceniu wiedzę ludzką — podajemy Czytelnikom, aby na rzut oka wszystko znaleźć i we wszystkiem objaśnić się mogli.

Dwa tomy w 8vo dużego formatu, około 120 arkuszy obejmujące ścisłego druku, zajmujące mało miejsca na każdym stoliczku obok kałamarza, zdołają każde żądanie zaspokoić, objaśnić, na każde zasadnicze pytanie odpowiedzieć, wątpliwość rozwiązać, każdy spór rozstrzygnąć i we wszelkiéj potrzebie usłużyć. Dzieło to postaramy się tak wykonać, aby w każdym domu stało się nieodzownie potrzebniejszém, niż wszelka inna książka.

Aby tego dopiąć, podręczna Encyklopedya powszechna oprócz ogólnéj wiedzy, zawierać będzie artykuły dotyczące n. p. ziemioznawstwa, opisu krajów, historyi ludów, ich literatury, sztuk, zamożności, stosunków wzajemnych, urządzeń społecznych, zgoła wszystko co tylko może służyć za przewodnika, co ułatwi kierowanie się, oraz wynalezienie na prędce żądanéj wiadomości.

Robiemy tu jeszcze uwagę, że żaden przedmiot nie jest w tym podręczniku pominięty, wszystko co się dotyczy wiedzy ludzkiéj będzie tam zamieszczone. Artykuły z nauk przyrodniczych jak można najobszerniéj będą traktowane, zwłaszcza ile te ogólne zastósowanie znalazły n. p. w handlu, rękodziełach, rólnictwie i naukach ścisłych. Ze szczególną troskliwością opracowane są życiorysy, historya, ziemioznawstwo (geografia) i państwowy stan krajów. Z techniki i rzemiosł, objaśniono wszystkie szczegóły według popularnéj terminologii, wyrazy z obcych narzeczy wzięte również zostały wytłómaczone, wraz ze sposobem jak się powinny wymawiać.

Kreśląc tak śmiały program, aby niewydał się przesądą, wyjaśniamy, iż za materyał posłużyło nam podobne dzieło w języku niemieckim obecnie wychodzące p. t. „Meyers Hand-Lexikon des allgemeinen Wissens“, tudzież Bouilleta obie podręczne encyklopedye, prócz mnóstwa zbiorów i dzieł specyalnych. Naturalnie, iż najobszerniéj traktowane będą przedmiota polskie i słowiańskie, ku czemu wytężymy wszelkie usiłowania i ku czemu współdziałanie wielu literatów polskich mamy przyrzeczone.

Dla dokładniejszego zrozumienia wielu przedmiotów, niż to mogą dać choćby najobszerniejsze opisy, służyć będą drzeworyty i tablice, a zwłaszcza mapy, które do naszego dzieła dołączymy, a mianowicie:

1. Karta nieba na półkuli północnéj.
2. System planetarny.
3. Geologiczne przecięcie ziemi (idealne).
4. Karta klimatologiczna ziemi (temperatura, deszcze, wiatry, przypływ morza etc.)
5. Karta pasów kruszcowych na ziemi.
6. Karta stref roślinnych.
7. Karta rozłożenia pożytecznych i szkodliwych zwierząt.
8. Karta pasów urodzajnéj ziemi.
9. Karta zaludnienia.
10. Karta zaludnienia według ras.
11. Karta mieszkańców ziemi według językow.
12. Karta mieszkańców ziemi według wyznań.

Ażeby dołączenie kart dotyczących geografii politycznéj i historycznéj było możliwém, potrzeba tylko szczerego współudziału publiczności.

Nadto w samym tekscie pomieszczone zostaną illustracye, objaśniające: Anatomią, Technologią i wiele innych nauk. Wszystkie mapy, karty i drzeworyty wykonane są starannie, aby służyły do istotnego użytku.

Dzieło to tak ważne i użyteczne, postanawiamy ofiarować jako premium wszystkim stałym abonentom Sobótki od 1. Lipca 1871 r. po cenie **tylko 5 talarów za exemplarz z atlasem**, nie abonujący Sobótkę zapłacą za komplet bez atlasu 7 tal. 15 sgr.

Odwołujemy się więc do ludzi oświeconych i do szukających oświaty, odwołujemy się i do mężczyzn i do niewiast z prośbą o rozpowszechnienie wiadomości o naszém wydawnictwie i jego warunkach. Spieszmy pokazać Czytelnicy, że solidarność w uczciwych i ogół obchodzących sprawach istnieje u nas jeszcze!

Encyklopedya jako dodatek do Sobótki, wychodzić zacznie od 1 Października roku bieżącego i przesyłaną będzie prenumeratorom w zeszytach co miesiąc, za opłatą 18 sgr. co kwartał. Prenumerata na całość z atlasem z 120 arkuszy złożoną wynosi 5 tal. Za każdy zeszyt miesięczny z przesyłką 6 sgr. przesyłając najmniéj na 3 zeszyty z odnowieniem prenumeraty przed wydaniem każdego trzeciego zeszytu.

W Warszawie Adam Wiślicki.

W Poznaniu, M. Leitgeber i Sp.

Wydawnictwo Sobótki.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).